

MACIEJ KORKUĆ

<https://orcid.org/0000-0002-4652-0576>

Instytut Pamięci Narodowej, Oddział w Krakowie

Ad 1. Najważniejszym polem moich zainteresowań naukowych jest historia XX w., w tym doświadczenie totalitaryzmów. Po 1989 r. w wielu aspektach udało się przełamać dziedzictwo białych plam i tematów zakazanych w okresie PRL. Jednak należy to uznawać raczej za wyraz powrotu do normalności wolnego państwa, niż jakieś szczególne osiągnięcie. Okupacja sowiecka, Polskie Państwo Podziemne, dzieje walk niepodległościowych na ziemiach wschodnich w czasie wojny, dzieje podziemia niepodległościowego po wojnie, kulisy funkcjonowania aparatu władzy i struktur bezpieczeństwa w PRL, dzieje opozycji niepodległościowej i demokratycznej, Solidarności i stanu wojennego — to obszary o dzisiejszym zakresie wiedzy nieporównywalnym do punktu wyjścia sprzed 30 lat. Szczególnie ważne było w tym kontekście wprowadzenie do nieskrępowanych badań historycznych całego zasobu archiwów wcześniej niedostępnych. Najpierw archiwów KC PZPR i komitetów wojewódzkich, a potem — od początku XXI w. — akt przejętych z archiwów szeroko rozumianego komunistycznego aparatu represji. Należy przypomnieć, że jeszcze w latach dziewięćdziesiątych akta dawnych służb komunistycznych Urzędu Bezpieczeństwa/Służby Bezpieczeństwa, przechowywane w archiwach Urzędu Ochrony Państwa, dostępne były tylko dla historyków uznaniowo wyselekcjonowanych według nieznanych kryteriów. Powstanie Instytutu Pamięci Narodowej jako instytucji szeroko udostępniającej akta wcześniej niedostępne, porządkującej je przy użyciu najnowszych technologii, w sposób ułatwiający penetrację oraz wykorzystywanie przez naukowców i dziennikarzy, zmieniły gruntownie możliwości funkcjonowania badaczy dziejów najnowszych. Rzadko ten wysiłek jest doceniany. Zbyt często zapomina się, że dla badań historycznych nad XX w. czas przed powstaniem IPN i po jego uruchomieniu — to dwie zasadniczo różne epoki. Dodać jednak trzeba, że łatwość dostępu do materiałów archiwalnych powinna iść w parze z pilnowaniem zasad warsztatu historyka, krytyką źródeł, odpowiednią ich weryfikacją. To wymaga indywidualnego poczucia odpowiedzialności. Z tym bywa różnie.

Ad 2. Jest paradoksem, że w XXI w. wyraźnie wzrasta znaczenie dyskusji na temat II wojny światowej i jej skutków. Upływające dekady pokazują, w jak wielkim błędzie byli ci wszyscy, którzy w latach dziewięćdziesiątych XX w. sądzili, że wraz z upływem czasu i wymieraniem pokoleń znających II wojnę światową z autopsji będzie słabła temperatura napięć wokół wydarzeń z lat 1939–1945. Wielowymiarowy spór wokół przebiegu wojny, jej skutków politycznych, społecznych, demograficznych, militarnych i gospodarczych nie traci na znaczeniu. Z coraz większą siłą staje się także przedmiotem aktywnej polityki całych państw. I tej wewnętrznej (w wielu krajach), i tej międzynarodowej.

Z jednej strony następuje próba rewitalizacji starych kłamstw propagandowych, a z drugiej lansowanie nowych mitów, oderwanych od faktów. Staje się to wygodnym narzędziem już nie tylko polityki historycznej różnych państw, ale narzędziem osiągnięcia celów w bieżącej polityce krajowej i międzynarodowej. Dzisiaj wiemy, że rewitalizacja stalinowskiej propagandy dotyczącej wojny i czasów powojennych jest w Rosji narzędziem konsolidowania społeczeństwa rosyjskiego wokół na nowo kreowanych mitów. W tej nowej/starej mitologii próbuje się wskazywać na Polskę jako na agresora, odpowiedzialnego za wybuch wojny. Te działania polityczne łatwiej dezawuować. Trudniej jest z opracowaniami pozorującymi wierność materiałom źródłowym, które z manipulacji, przeinaczeń i nieprawdziwych cytatów stworzyły narzędzie lansowania z góry założonych tez.

Inna rzecz, że dostrzegalna jest łatwość promowania w kontekście II wojny światowej tez absurdalnych, ubranych jedynie w kostium „badań historycznych”. Lansowane są nowe środowiska kreowane na specjalistów od modnych tematów — niezależnie od rzeczywistego poziomu ich opracowań historycznych.

Wymieranie uczestników wydarzeń, którzy byliby w stanie weryfikować ich opisy osobistym doświadczeniem, nie łączy się w dzisiejszym świecie ze schładzaniem emocji związanych z wojennym doświadczeniem poszczególnych narodów. Wręcz przeciwnie: obecnie widzimy, że dzisiaj łatwiej wylansować najbardziej niedorzeczne tezy i przy odpowiednim wsparciu medialnym przeniknąć z nimi do świadomości zbiorowej. Stwarza to pole do popisu dla autorów opracowań stroniących od warsztatowej sumienności. Tak powstająca zafałszowana wizja bywa powielana, współkształtując — nierzadko wbrew faktom, kontekstom historycznym i proporcjom zdarzeń — na nowo obraz różnych wydarzeń i procesów historycznych.

Manipulacje i kłamstwa, prezentowane jako „odkrycia” czy „nowe obliczenia”, łatwo są powielane — nawet jeśli nie są należycie udokumentowane, względnie opierają się o nierzetelne wykorzystanie materiałów

źródłowych. Zyskują status „niepodważalnych”, jeśli tylko trafiają w nurt swoistej „poprawności politycznej”. To niebezpieczeństwo, które jest równie groźne dla wolności badań historycznych, jak wcześniejsze, narzucane „obowiązujące wersje historii” w krajach zniewolonych przez totalitaryzm. Łatwość „mainstreamowego” szufladkowania za pomocą motywowanych *de facto* politycznie zaszerogowań niesie szczególną groźbę dla utrzymania wolności badań naukowych. U niektórych historyków, szczególnie młodych, rodzić może to obawę przed zajmowaniem się pewnymi tematami, skoro narzucane są tezy „niepodlegające dyskusji”.

Z punktu widzenia polskiego doświadczenia historycznego może to być szczególnie bolesne tam, gdzie tego rodzaju manipulacje zmieniają postrzeganie Polski, jej szeroko pojmowaną reputację — w czasie wojny ugruntowaną chociażby przez zbrojny opór przeciw totalitaryzmem i jednoznaczną odmowę jakichkolwiek ustępstw, jakiegokolwiek kolaboracji z Rzeszą Niemiecką.

Mści się przy tym fakt, że w okresie PRL, kiedy żyły miliony świadków wydarzeń, bardzo wiele obszarów okupacyjnej rzeczywistości (nawet tych „bezpiecznych” z punktu widzenia propagandy) nie zostało ani dokładnie przebadanych, ani solidnie opisanych. W latach dziewięćdziesiątych XX w. gruntowano obiegowe przekonanie, że o martyrologii obywateli polskich pod okupacją niemiecką już wiadomo prawie wszystko. Było inaczej. Wprawdzie mieli rację ci, którzy wówczas sądzili, że po upadku komunizmu nastąpi przede wszystkim czas, aby odzyskiwać wiedzę o tym, czym był sowiecki totalitaryzm, komunizm w rzeczywistości. Natomiast równolegle wielu z nich błędnie uważało, że fundamenty, na których wspiera się narodowa, europejska i światowa percepcja podstawowych faktów na temat II wojny są i pozostaną trwałe.

Naiwnością było uznawać, że po ujawnieniu tematów skrywanych wcześniej przez obóz komunistycznej władzy II wojna światowa pozostanie poza sferą sporów i kontrowersji. Liczono, że w nowych warunkach — po upadku również ZSRS — świat zapozna się ze skrywanymi na wschodzie faktami, aby na zawsze złożyć do grobu propagandę komunizmu. Można było mieć nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy, aby — w obawie przed kompromitacją w świecie nauki — bez oparcia o rzeczowe argumenty zamieniać państwa będące ofiarami agresji — na agresorów. Dzisiaj wiemy, że takie nadzieje są płonne.

Kiedyś komunistyczna propaganda zakłamywała podstawowe fakty. Operowała nierzadko liczbami oderwanymi od ustaleń źródłowych. Po weryfikacji i odrzuceniu różnego rodzaju manipulacji wykreowanych na użytek władz ZSRS i PRL, można było liczyć, że obywatelstwo w nauce zyskiwać będą tylko takie nowe obliczenia, których podstawy zostaną

wykazane jako efekt poważnych badań faktograficznych. Okazuje się, że dzisiaj mogą być traktowane poważnie i lansowane dane liczbowe nieoparte żadnymi źródłami. I nie są powodem do rumieńca wstydu dla autorów pochwyconych na lekceważeniu elementarnych prawideł badań naukowych. Są oni w stanie za to wprost orzec: „właściwie jest mi wszystko jedno, czy napiszę, że to było 100, 200 tysięcy czy kilkadziesiąt tysięcy. Jedno i drugie oznacza dużo”.

Tym bardziej niejednokrotnie jest wyzwaniem, aby realia okupacji niemieckiej w środowiskach lokalnych, poszczególne akty terroru niemieckiego zostały opisane od podstaw.

Dzisiaj w odniesieniu do narracji o okupacji niemieckiej na ziemiach polskich coraz częściej możemy się spotkać ze świadomym pomijaniem kontekstu funkcjonowania władzy okupacyjnej i jej służb, kontekstu egzekwowanych terrorem zarządzeń, namnożonych nakazów i zakazów pod rygorem kary śmierci. Stąd coraz ważniejszym wyzwaniem staje się konsekwentne uwzględnianie niemieckiego, państwowego wymiaru systemowych zbrodni: Holokaustu, mordów polskiej inteligencji, innych zbrodni przeciw ludzkości. Jeszcze kilka dekad temu wydawać się mogło, że nikomu nie przyjdzie do głowy, aby w odniesieniu do ziem okupowanej Polski redukować bądź rozmywać niemiecką odpowiedzialność za ludobójstwo. Odpowiedzialność nie tylko narodową, ale przede wszystkim państwową, strukturalną. Miały swoje miejsce w katalogu różnych przejawów okupacyjnego horroru zbrodnie popełnione przez służby Rzeszy Niemieckiej; miały też swoje miejsce — przy utrzymaniu wszelkich proporcji — różne formy współuczestnictwa w nich zdrajców, konfidentów, ludzi żądnych zysku. Jednak aktywność tych ostatnich przecież nie zmieniała nic w zbrodniczym wymiarze realizacji państwowych decyzji przez funkcjonariuszy i służby Rzeszy Niemieckiej. Warunki okupacyjnej rzeczywistości tworzyła Rzesza Niemiecka. Ona dawała ochronę i poczucie bezkarności także tym cywilnym zbrodniarzom, którzy funkcjonowali na obrzeżach państwowej maszyny masowego ludobójstwa. Tymczasem dzisiaj podejmuje się próby wykreowania marginesu zdrady i zaprzaństwa narodowego w polskim społeczeństwie czasu wojny (którego istnienia przecież nigdy nie przemilczano) do roli autorytatywnego reprezentanta całej, właśnie poddanej terrorowi polskiej społeczności. I to przy absolutnym przemilczeniu nie mniejszej złożoności tego typu zjawisk wśród ludności zamkniętej przez Niemców za murami gett.

W nowym wymiarze w badaniach historycznych w nowych formach pojawia się zadziwiające zjawisko segregacji ofiar terroru — według ich przynależności narodowej i rasowej. W miejsce zdarzających się wcześniej publikacji opisujących terror niemiecki wobec Polaków — bez

uwzględnienia terroru wobec Żydów — otrzymujemy obecnie publikacje na temat terroru niemieckiego wobec Żydów — bez uwzględnienia terroru okupacyjnego wobec Polaków. Tak jakby kryteria norymberskie były wciąż głównym wyznacznikiem myślenia historyków (czy też naukowców z innych dziedzin biorących się za historię bez znajomości naukowego warsztatu) w XXI w. A przecież wydaje się oczywiste, że w atmosferze wolności badań naukowych skupienie uwagi na terrorze wobec jednej z części okupowanego społeczeństwa nie powinno być łączone z systemowym przemilczaniem niemieckiej polityki terroru wobec całej reszty tegoż społeczeństwa.

Wydawałoby się, że absurdalne tezy, takie jak stwierdzenia o istnieniu „polsko-niemieckiej administracji” (!) w Generalnym Gubernatorstwie, będą mogły się pojawić co najwyżej w artykułach niezbyt douczonych publicystów, a nie w opracowaniach aspirujących do miana naukowych. Dzisiaj już wiemy, że i to jest możliwe.

Dlatego wielkim wyzwaniem dla historiografii II wojny światowej jest to, aby rzetelnymi badaniami nad całością dziejów społecznych, politycznych, gospodarczych objąć każdy fragment ziem okupowanych. Opisać szczegółowo i detalicznie lata okupacji w każdym regionie. Tak, aby solidne ustalenia faktograficzne — wolne od chęci ubarwiania jakiegokolwiek społeczności — mogły być realną podstawą bardziej syntetycznych wniosków, obejmujących także interesujące dzisiaj historyków bardziej niż kiedyś sprawy okupacyjnej codzienności, tła wydarzeń, postaw wobec terroru ludności niezaangażowanej w działania nielegalne (a takimi były zarówno działania niepodległościowe, jak też pomoc dla Żydów i innych prześladowanych). Z tego mogą powstać odpowiedzi na zasadnicze pytania badawcze dotyczące realiów tamtego czasu. Wtedy okaże się, że różne, sztucznie narzucane punkty odniesienia nie dadzą się tak łatwo zasufladkować w kategoriach „my” i „oni”.

To wszystko ma duże znaczenie również dla rzetelności przekazu dominującego w historiografii zachodniej. Nierzadko ocenia się tam rzeczywistość okupacyjną na ziemiach polskich, wydając oceny jakby przez pryzmat holenderskich czy francuskich uwarunkowań wojennej rzeczywistości. W dzisiejszym stanie rzeczy staje się więc wyzwaniem, aby naukowcom z Europy Zachodniej i USA uświadomić, jak bardzo różniła się sytuacja w czasie okupacji niemieckiej przeciętnego Holendra i przeciętnego Polaka. Ten pierwszy, Holender, o ile nie był zaangażowany w działania nielegalne, w gruncie rzeczy był bezpieczny. Ten drugi, Polak, nawet jeśli nie był zaangażowany w działania nielegalne, wciąż był poddany morderczemu okupacyjnemu terrorowi, był zagrożony śmiercią za najprostsze odruchy. Takie jak nakarmienie ukrywającego

się Żyda (nie mówiąc już o jego ukrywaniu). A nierzadko dzisiaj lekką ręką i Polaka, i Holendra wrzuca się do tej samej szufladki zatytułowanej „bystanders” — bez zwracania uwagi, jak dramatyczna przepaść dzieliła sytuację owych „obserwatorów” w obu okupowanych krajach.

Tym bardziej kontekst państwowy ma znaczenie. Dzięki szczegółowym badaniom (których widać niedostatek) być może łatwiej będzie również za granicą pokazać różnicę pomiędzy obywatelem RP (narodowości polskiej, ukraińskiej, żydowskiej, białoruskiej czy innej) wysługującym się Niemcom wbrew własnemu państwu, a obywatelem np. Francji, wysługującym się Niemcom na polecenie własnego państwa. Wtedy też może łatwiej będzie zrozumieć: dlaczego — wbrew rozlicznym insynuacjom — Polska, jako państwo w czasie wojny alianckiej, nie ma powodu otaczania ochroną jakiegokolwiek zbrodniarza wysługującego się Niemcom, nawet jeśli był Polakiem. Tak jak nie ma powodu chronienia jakiegokolwiek zbrodniarza wysługującego się Sowiecom czy komunistom — nawet jeśli był Polakiem. I to samo dotyczy polskich mniejszości narodowych: Żydów, Ukraińców, Białorusinów i innych.

Należy zaznaczyć, że to naturalne, iż podstawową osią narracyjną w odniesieniu do II wojny światowej dla Brytyjczyków, Amerykanów, ale też Francuzów, Norwegów czy Holendrów są dzieje ich własnego państwa. Pochodną tego jest opowieść o działaniach sił zbrojnych i służb państwowych. Tym bardziej na gruncie syntezy potrzeba pełnego przywrócenia miejsca państwa polskiego — Rzeczypospolitej Polskiej — w II wojnie światowej do świadomości społecznej. Przywrócenia w całościowym wymiarze tej obecności. Dzisiaj zarówno młodzież (a także i — niestety — np. niektórzy polscy dyplomaci) generalnie uznają, że państwo polskie w czasie wojny nie istniało. To wciąż żywe pokłosie propagandowych ujęć z okresu PRL, niestety obecnych w świadomości części społeczeństwa. W okresie PRL wiele wysiłku bowiem włożono w to, aby narracja o polskim państwie, zaatakowanym w 1939 r., była najpierw połowiczna, a potem — w odniesieniu do ostatnich lat wojny — aby rozplynęła się w natłoku zdarzeń, w opisie których łączono fakty i propagandowe kreacje komunistów.

W odniesieniu do lat 1939–1941 uwzględniano istnienie Rzeczypospolitej Polskiej jako podstawowy punkt widzenia (choć tak ujmowana „historia Polski” była jednak wtedy geograficznie ograniczona do ziem położonych na zachód od Bugu). Jeszcze podmiotowo Polska jako państwo była przedstawiana w odniesieniu do roku 1942. Natomiast do okresu po 1943 r. (zerwanie stosunków przez Moskwę) — kontekst istnienia Rzeczypospolitej Polskiej w teatrze wojennym redukowano do minimum i zastępowano eufemizmami odległymi od rozumienia, że wciąż

mamy do czynienia z tym samym państwem polskim, które prowadzi walkę o niepodległość od 1 września 1939 r. Świadomość istnienia tego państwa była wypierana poza główny nurt narracji: Rząd RP stał się jakimś nie wiadomo kogo reprezentującym „rządem emigracyjnym”. Państwo podziemne, będące częścią struktur państwowych Rzeczypospolitej Polskiej, redukowano do jednej z części nieokreślonego bliżej „ruchu oporu”. Wszystko po to, aby pokazać, że w 1944 r. władza „leżała na ulicy”, a „postępowe siły społeczne” reprezentowane przez Polską Partię Robotniczą i Krajową Radę Narodową tę rzekomą próżnię wypełniły, tworząc „Polskę Ludową”, korzystając z życzliwości Stalina i Armii Czerwonej. I tutaj także „historia Polski” ograniczała się do ziem na zachód od Bugu. „Zniknięcie” Rzeczypospolitej Polskiej z pola widzenia (cezura czytelną było tutaj zerwanie przez ZSRS stosunków z Polską 25 kwietnia 1943 r.) nie wymuszało uwzględnienia odpowiedzi na pytanie: co się stało z państwem, które w 1939 r. walczyło w imieniu Polaków o wolność, niepodległość i całość Rzeczypospolitej. Inaczej trzeba byłoby przyznać, że to Moskwa nie pozwoliła, aby władze tego państwa powróciły do Kraju, i że to Związek Sowiecki i jego siły zbrojne i policyjne po zajęciu ziem polskich niszczyły odbudowane w konspiracji struktury i ludzi tego państwa.

Niestety przez ostatnie 30 lat udało się tylko częściowo wrócić do normalności. Wciąż nie udało się przełamać owego wygenerowanego w PRL „zapominania” o państwie jako podstawowym składniku naszych dziejów w II wojnie światowej i najważniejszym punkcie odniesienia. O tym czynniku, który porządkuje myślenie o wydarzeniach, decyduje o różnicy pomiędzy Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej, innymi organizacjami niepodległościowymi a tymi, które realizowały cele polityczne obcych państw i ośrodków (w tym komunistami). I które — tak jak jednostki Zygmunta Berlinga — była strukturą bezprawnie formowaną z obywateli RP wbrew temu państwu. I wielokrotnie wykorzystywaną przez ZSRS przeciw polskiej racji stanu (wbrew intencjom szeregowych mas żołnierskich). Opowieść o PPR, Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, o Armii Ludowej bez państwa polskiego jako punktu odniesienia gmatwa się w gąszczu szczegółów, z których ani uczeń, ani zwykły odbiorca niehistoryk wciąż nie dowiaduje się rzeczy najbardziej elementarnych. Efektem tego są chociażby pokłady ignorancji ujawniane wśród polityków i komentatorów podczas przywracania nazwy ulicy Armii Ludowej w Warszawie.

Dzisiaj prawdziwym wyzwaniem okazuje się, aby w odniesieniu do II wojny światowej w pełni „odzyskać” państwowe dzieje Rzeczypospolitej Polskiej i bilans jej aktywności politycznej i militarnej w obozie

alianckim. Jeżeli nie chcemy zatracić tego wielkiego przecież dorobku wysiłku państwowotwórczego i militarnego Polaków (i szerzej — obywateli RP) w II wojnie światowej, jeśli nie chcemy rzeczywiście marnować przelanej krwi polskich obywateli w walce po stronie aliantów i pamięci o niewinnych ofiarach terroru, właśnie państwowy punkt widzenia powinniśmy czynić główną osią porządkowania naszej wiedzy o wydarzeniach i o postawach społecznych (oczywiście to nie przeszkadza badaniom szczegółowym, detalicznym).

Podobnie tylko częściowym sukcesem jest przywrócenie świadomości, że historia Polski w XX w. rozgrywa się na całym jej terytorium, a nie tylko w centralnej i zachodniej części, na zachód od Bugu. Do zbiorowej świadomości udało się przywrócić percepcję całości obszaru II Rzeczypospolitej jako terenu, w którym rozgrywa się historia Polski, w odniesieniu do lat 1939–1941. Mamy więc w pamięci nie tylko 1 września, ale i 17 września 1939 r. Mamy okupację niemiecką i okupację sowiecką jako niezbywalne elementy tej historii. Udało się wprowadzić do zbiorowej świadomości, że historia Polski w województwach wschodnich RP „działa się” także w latach 1942–1944 oraz że integralną częścią naszego doświadczenia historycznego jest Armia Krajowa, również tam działająca i realizująca plan „Burza”. Udało się przywrócić świadomość, że zbrodnie Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu i w Galicji Wschodniej są integralną częścią tego, co działo się na ziemiach Rzeczypospolitej (a z tego m.in. powodu to był w PRL temat niewygodny).

Niestety u wielu autorów historia Polski i Polaków nagle „znika” z tamtych obszarów wraz z początkiem 1945 r. i konferencją jałtańską. Dlaczego? Czy tak ważnym dla dzisiejszych historyków wyznacznikiem są decyzje Stalina i jego interlokutorów? Wszak to wciąż było terytorium RP — zagarnięte przemocą. Historia Polski i obywatele Rzeczypospolitej tam w dalszym ciągu trwała — pod władzą sowiecką, jak w latach 1939–1941. Masowe przesiedlenia ludności — tym razem na zachód — w różnym stopniu dotknęły różne województwa. Ale na Wileńszczyźnie do końca ZSRS przetrwała zwarta społeczność polska. W opisach dziejów Polski te zagadnienia powinny znajdować miejsce ważne na pewno w odniesieniu do pierwszych lat powojennych. Powinny być też — z uwzględnieniem zmian społecznych i narodowościowych — wyraźnie sygnalizowane także w odniesieniu do następnych dekad, co najmniej do czasu prawomocnego uznania granic przez Polskę i już wolne państwa na wschodzie, niezależne i wyzwolone spod władzy sowieckiej i spod komunizmu.

Ad 3. Historia państw, zorganizowane działania wobec całych zbiorowości są swoistym tłem, scenografią wspólnego doświadczenia. Tworzą



ramy, w których obserwujemy życie milionów ludzi. Ich doświadczenie jest zawsze indywidualne, a tylko w niektórych przejawach — zbiorowe. Jeśli całe zbiorowości są przedmiotem oddziaływania opresyjnej władzy, multiplikuje się ilość wspólnych doznań. Ale i tak każda zbiorowość składa się z jednostek, które podejmują indywidualne decyzje, a te dotyczą ich własnego środowiska. Nawet jeśli terror, narzucana ideologia, masowe mordy czy nakazy dotyczą wielu ludzi, to doświadczenie indywidualne jest zawsze zróżnicowane. Jednych zamordowano, innych zamordować próbowano, jeszcze inni zdążyli wystarczająco wcześniej schronić się przed wrogiem. Jedni próbowali przetrwać, inni narażali się, świadomie podejmując walkę, jeszcze inni robili wszystko, żeby się nie narażać i przetrwać. W końcu byli tacy, którzy chcieli zarobić, zyskać kosztem nieszczęść innych, zrobić karierę po stronie zbrodniczej władzy. Wszystko jedno czy sowieckiej, czy niemieckiej, czy sowiecko-komunistycznej. Każde takie doświadczenie jest indywidualne, ale w różnych aspektach wpisuje się w doświadczenie zbiorowości.

Ukazywanie indywidualnych losów jest ciekawe. Pokazywanie, gdzie jest doświadczenie wielu, a gdzie nadzwyczajność losów jednostki, jest duszą i smakiem poszukiwań historycznych. Suma poznanych losów indywidualnych pozwala wskazać powtarzalność różnych aspektów życia. I oddzielić odrębność doświadczenia indywidualnego od tego, co powtarza się w życiorysach dziesiątek, setek milionów. Z tego się bierze doświadczenie wspólne, buduje się nasza wiedza, która wciąż powinna podlegać syntetycznym wnioskowi. Bez syntezy nie ma rozumienia historii. Bez rozumienia — nie ma wniosków ze zbiorowego doświadczenia. Historia przestaje być „nauczycielką życia”. Synteza zatem także jest ważną częścią warsztatu historyka.

Co powinno być wspólne? Porządkowanie postrzegania historii (a także skomplikowania ludzkich biografii, ludzkich wyborów — niezrządkiem dramatycznie różnych na przestrzeni dziesięcioleci) z uwzględnieniem kategorii moralnych. W kategoriach świata wartości najbardziej elementarnych — jeżeli ktoś się boi pomóc innym, bo grozi za to kara śmierci jemu i rodzinie, jeżeli ktoś jest skupiony na przetrwaniu i nie chce uczestniczyć w działaniach nielegalnych — możemy to rozumieć i opisywać z empatią. Jeżeli jednak ktoś gotów jest za swoje bezpieczeństwo (albo karierę, chęć zysku) płacić życiem (albo łamaniem losów) innych — powinien być oceniany w kategoriach moralnych. Niezależnie czy jest to dokonywane w imię PRL i komunizmu, czy w służbie Wielkoniemieckiej Rzeszy. Jeżeli ktoś morduje niewinnych ludzi dla kariery, zysku czy ideologii (narodowo-socjalistycznej, komunistycznej, jakiegokolwiek innej) w narracji historycznej nie powinien być afirmowany.

To jest coś, co powinno być wspólne w tym sensie, że pochwała zbrodniarza — zabójcy (wszystko jedno jakiej narodowości, wszystko jedno czy w mundurze funkcjonariusza Gestapo, granatowej policji, NKWD, UB czy SB) — powinna się spotykać z potępieniem (odczuwalnym, nawet jeśli nie wyrażanym wprost), nie z afirmacją. A postawy poświęcenia dla innych, akty bohaterstwa, śmierć w walce z wrogiem — powinny być stawiane jako wzorce społecznego doskonalenia (znowu: niekoniecznie *expressis verbis*). Jako wzorce postaw obywatelskich, wyrażających się nie tylko gotowością do poświęceń w warunkach wojny, ale rzetelnością, uczciwością, dążeniem do prawdy w życiu codziennym w okresie pokoju i wolności.

W tym sensie opowieść o przeszłości może i powinna być wspólna — niezależnie od indywidualnych doświadczeń przodków. I to już jest sfera oddziaływania ustaleń faktów (na których rola badacza dziejów się kończy) na postawy społeczne. Jeżeli ktoś jest potomkiem bohatera, filantropa, człowieka zdolnego do poświęceń dla innych — powinien odczuwać powody do dumy z tego, że jego przodek wpisuje się w promowane przez zbiorowość postawy szlachetne i heroiczne. Takie postawy powinny znajdować wyraz w pomnikach, patronatach itp. To zresztą już zadanie dla instytucji bazujących na ustaleniach badaczy dziejów.

Natomiast jeśli ktoś jest potomkiem zdrajcy, zbrodniarza, człowieka, który postawił wszystko na kartę kariery w służbie narzuconego reżimu kosztem innych, powinien — właśnie dzięki owym promowanym w zbiorowości postawom — umieć zmierzyć się z prawdą o indywidualnej, zawstydzającej historii rodzinnej. I znowu: wszystko jedno, czy gorliwie służył reżimowi pod władzą Hitlera i Hansa Franka, czy Stalina i Bieruta lub Jaruzelskiego. Także po to, aby rozumieć, że nie jest skazany na jej kontynuację. Aby swoim własnym życiorysem budować nową jakość w rodzinnej tradycji. Do tego potrzebna jest umiejętność zmierzenia się z prawdą taką, jaką ona jest — bez ubarwień, bez stwierdzeń typu: „musiał”, „inni też tacy byli”, „gdyby nie on, na jego miejsce przyszliby gorsi”. (Jakiś czas temu syn Ottona Wächtera tłumaczył w ten sposób — dobrze znany z życiorysów funkcjonariuszy komunistycznych — „misję” swojego ojca w urzędach GG). Klarowność oddzielenia zła i dobra pozwala powiedzieć: moje dzieci i wnuki będą dumne z mojej postawy życiowej, wbrew czarnym kartom z wcześniejszych dziejów rodziny.

Właśnie dlatego ani w życiu społecznym, ani indywidualnym Polacy nie potrzebują w opisie doświadczenia historycznego fałszywych schematów w rodzaju „wszyscy byli bohaterami” albo fałszywych opowieści o jakichkolwiek „nieskażonych nacjach”. Po doświadczeniu dwóch narzuconych totalitaryzmów wiemy doskonale, że w zbiorowości poddanej

totalitarnemu zwyrodnieniu ujawniają się postawy skrajne: podporządkowania, chęci zysku, chęci kariery — kosztem innych. Większość próbuje przetrwać. I jest zbiorowość bohaterów, ludzi gotowych do poświęceń, zdających egzaminy w najgorszych okolicznościach życiowych. Prawda o tych pierwszych jeszcze bardziej uzmysławia wielkość tych ostatnich.

Tym bardziej ważna jest rzeczowa opowieść o terrorze niesionym przez totalitarną (państwową — niemiecką oraz państwową — sowiecką) maszynę zbrodni i o ludziach, którzy z własnej woli stali się jej narzędziami.

Ad 4. Historia, pojmowana jako nasza zdolność do wyciągania wniosków z doświadczeń, wciąż może i powinna być „nauczycielką życia”. W pracy historyka służba narodowi, służba państwu i społeczeństwu powinna polegać na odkrywaniu prawdy — niezależnie od tego, jaka ona jest. Polska, choć tak sponiewierana wojną i długoletnim zniewoleniem, będącym jej rezultatem, ma pod tym względem piękne dziedzictwo państwowe, do którego wystarczy się konsekwentnie odwoływać. To dziedzictwo państwa funkcjonującego w latach 1918–1939 w warunkach niepodległej normalności, a po roku 1939 — na uchodźstwie i w podziemiu walczącego o wolność (w latach 1939–1945). Wbrew totalitaryzmom.